

Cenzorzy w sędziowskich togach

Moje pokolenie, które w młodości zdążyło jeszcze doświadczyć w praktyce państwowej cenzury, wyrosło w przekonaniu, iż cenzura prewencyjna – to zło, będące klasycznym atrybutem tyranii, a jego dobrym przeciwieństwem jest następcza kontrola sądowa, wyznaczająca granice wolności słowa w państwie praworządnym.

Co prawda, po odzyskaniu wolności w 1989 roku, premier Mazowiecki dość długo wahał się, czy nadszedł już właściwy czas dla zniesienia urzędu cenzury prewencyjnej (a nawet – wedle tajemnicy poliszynela – miał zaproponować szefostwo tego urzędu młodemu Jarosławowi Kaczyńskiemu, od czego zaczęły się różne późniejsze nieszczęścia), tym niemniej w tamtym czasie nie było chyba w wolnym świecie nikogo, kto by na serio zwalczał pogląd, iż kontrola granic wolności słowa, czyli *sensu largo* jednak cenzura, to naturalna misja sądów. I zapewne gdyby nie współczesny trend do przechwytywania przez sędziów władzy politycznej w krajach demokratycznych, „naturalność” owej misji do dziś dnia nie podlegałaby dyskusji. Ktoś musi przecież decydować o przekroczeniach wolności słowa, a materia ta jest tak delikatna i tak trudna do precyzyjnego wyznaczenia granic, że orzecznictwo sądowe – mające tę wyższość nad prawodawstwem, że zawsze rozpatruje rzecz „in concreto”, a nie „in abstracto”, a więc unika nieuchronnych błędów wszelkiego uogólnienia – pasuje do takiego zadania jak ulał. Na uzasadnienie starczy jeden przykład: sławny amerykański spór o to, czy spalenie narodowej flagi jest formą „symbolicznej wypowiedzi”, której

swobodę gwarantuje Pierwsza Poprawka, czy też jest kryminalnym aktem chuligaństwa, rozstrzygnięty przez tamtejszych sędziów na rzecz rozepchnięcia granic wolności słowa.

Ale dziś cała rzecz przestaje być oczywista, a pogląd o „wyższości” sądowej cenzury następczej nad wulgarną cenzurą prewencyjną – prawdę mówiąc – kiepsko się broni. Obserwuję z zaciekawieniem spory, jakie z rozmaitymi potęgami tego świata wie dzie magnat medialny Elon Musk. W panującym dziś ideowym klimacie Musk jest figurą niezwykłą i odosobnioną; jest chyba bowiem jedynym globalnym magnatem i celebrytą, który wierzy w polityczną i moralną potęgę oświeceniowej idei wolności słowa. Parę tygodni temu, podczas pobytu w Krakowie, Musk wyłożył precyzyjnie pogląd, który jest źródłem większości konfliktów, w jakie popadł, odkąd w 2019 roku zdecydował się kupić Twittera i przemianować go na platformę X. Powiedział: „Najwłaściwszą rzeczą jest pozwolić ludziom na mówienie tego co chcą, nawet jeśli jest to kontrowersyjne, o ile tylko nie łamią prawa”. Ale cały kłopot tkwi właśnie w tym, że w warunkach jurystokracji, ogarniającej powoli wszystkie kraje demokratyczne, „łamaniem prawa” może stać się z dnia na dzień niemal wszystko. Jeden z wielkich konfliktów, tych, które zadecydują o globalnym znaczeniu wolności słowa w XXI wieku, Musk wie dzie z brazylijskim Sądem Najwyższym. Ów sąd, w którym dominują twardzi wrogowie polityczni brazylijskiej prawicy, nakłada masowe zakazy publicznego wypowiedania się na prawicowych polityków, odsuniętych niedawno od władzy, po wyborczej porażce prezydenta Bolsonaro. Ale Musk nie respektuje tych zakazów, nie bez racji twierdząc, iż sędziom nie chodzi o nic innego, jak o uciszenie przeciwników nowego lewicowego rządu Brazylii. Więc „zbanowana” przez sędziów u siebie w kraju brazylijska prawica nadal może mówić do swoich zwolenników dzięki platformie X.

No i teraz prezes brazylijskiego Sądu Najwyższego – sędzia Alexandre de Moraes obwieszcza właśnie, iż odtąd będzie na Muska nakładać grzywny w wysokości 20 tysięcy dolarów, za każdą wypowiedź na platformie X jakiegokolwiek osoby „zbanowanej” przez brazylijskiego sędziego. Musk jest wprawdzie krezusem, ale skala represji sądowych wobec brazylijskiej prawicy jest taka, że te kwoty wkrótce urosną do setek milionów, jeśli nie miliardów dolarów. De Moraes jest figurą potężną w brazylijskim systemie ustrojowym, w przeszłości działaczem wrogiem wobec prawicy partii neoliberalnej (nazywającej się tam socjaldemokracją) i pełni także urząd prezesa Najwyższego Sądu Wyborczego, który jest trybunałem o charakterze stricte politycznym. Intencje sędziego de Moraesesa są przejrzyste. Chce użyć „naturalnego” w demokracji systemu następczej sądowej kontroli granic wolności słowa dla uzyskania efektu analogicznego do tego, jaki przyniosłoby zaprowadzenie w Brazylii państwowej cenzury prewencyjnej, której wszakoż nie da się zaprowadzić bez złamania liberalno-demokratycznego tabu. Sądowy „ban” na prawicę jest – w ocenie de Moraesesa – skutkiem nadużywania przez nią granic wolności słowa, a to musi skutkować wyłączeniem jej z debaty publicznej. Gdyby w Brazylii istniał system prewencyjnych „zapisów na nazwiska”, taki jak w komunistycznej „Czarnej Księdze Cenzury”, wywiezionej z Polski w roku 1977 przez krakowskiego cenzora Tomasza Strzyżewskiego, to de Moraes, albo jakiś inny brazylijski funkcjonariusz, wpisałby po prostu nazwiska prawicowych polityków do takiej księgi i nikt już nigdy nie opublikowałby ani jednego wypowiedzianego przez nich słowa, ani nawet nie wymienił ich nazwisk. Widać wyraźnie, że w odmiennych ustrojowych warunkach zanika dystynkcja, do której swego czasu tak bardzo myślowo przywiązaliśmy się, pomiędzy modelem prewencyjnej cenzury, typowym dla tyranii, a cenzurą następczą, sprawowaną w imię praworządności przez sędziów. A być może nawet uderzenie w wolność

słowa przez cenzorów w sędziowskich togach jest potencjalnie mocniejsze; zakłada bowiem nie tylko możliwość uciszenia ludzi objętych „banem” (czyli odpowiednikiem „zapisu”), ale również międzynarodowego ścigania i finansowego zniszczenia wydawcy, który śmiałyby ów „ban” zignorować.

Na całą sprawę zwróciłem baczniejszą uwagę za sprawą alarmistycznej opinii Michaela Shellenbergera, który obwieszczenie sędziego de Moraes spuentował ponurą przestrogą, iż: „jeszcze tylko Musk stoi na drodze do zaprowadzenia globalnego totalitaryzmu”. Shellenberger jest cenionym przeze mnie analitykiem i autorem książek, dowodzącym fiaska polityki zastraszania ludzkości wizją klimatycznej apokalipsy i postulującym racjonalne rozwiązywanie kłopotów ekologicznych przez przyśpieszenie postępu technologicznego (tzw. eko-modernizm). Jedną z jego książek została zresztą parę lat temu wydana także po polsku. Ale Shellenberger, na własnej skórze doświadczający skutków współczesnego kryzysu idei wolności słowa, jest mi bliski przede wszystkim właśnie, jako gorliwy obrońca tej idei, na staroświecki, Millowsko-liberalny sposób, odwołujący się do wartości rzetelnego poszukiwania prawdy. Jego sugestia, iż Musk jest w istocie jakimś nowym katechonem, który ocala dziś świat przed totalitaryzmem, jest oczywiście figurą retoryczną, dostosowaną do czasu, w którym polityczne znaczenie zyskują jedynie poglądy wyrażane z emfatyczną przesadą. Lecz w końcu nie tylko sędzia de Moraes próbuje zniszczyć Muska, ale także prowadząca przeciwko niemu śledztwo Komisja Europejska, która ustami francuskiego komisarza Thierry’ego Bretona grozi mu „odstraszającymi sankcjami” za to, iż odmawia wprowadzenia na platformie X żądanych przez Unię reguł wewnętrznej, scentralizowanej cenzury korporacyjnej. Cenzury, której wymóg zaakceptowały w ubiegłym roku – o zgrozo! – wszystkie rządy unijne, w tym także rząd polski, uchwalając jednomyślnie tzw. „dyrektywę DSA”

(czyli prawa o usługach cyfrowych). Coraz bardziej jestem więc skłonny przyznać rację sugestii Shellenbergera, iż batalie prowadzone obecnie przez wrogów Muska mają wymiar o wiele donioślejszy, aniżeli się nam wydaje – są bowiem realnymi, politycznymi objawami wojny na śmierć i życie wielkich idei, jaka przetacza się przez nasz świat. A ewentualny upadek Muska pod ciosami jego coraz liczniejszych wrogów byłby już nie tyle sygnałem alarmowym, co objawem dziejącej się na naszych oczach katastrofy wolności słowa, praktycznie na całym globie.

Jan Rokita